

Mój ojciec był w Luftwaffe. Bogu dzięki, że był w Luftwaffe. Nikomu przynajmniej nie przyjdzie do głowy mówić, że był nadzorcą obozu koncentracyjnego - mówi szefowa Związku Wypędzonych w rozmowie z Brygidą Helbig-Mischewski* i Magdą Parys-Liskowski

Erika Steinbach rzadko i bardzo niechętnie udziela wywiadów polskim dziennikarzom. Zgodziła się porozmawiać z Brygidą Helbig-Mischewski i Magdą Parys-Liskowski. Autoryzacja wywiadu trwała jednak cztery tygodnie. Wywiad publikujemy w wersji ustalonej przez Erikę Steinbach i jej konsultantów od języka polskiego - bez żadnych zmian. Oto pełna wersja tekstu (w wydaniu papierowym były skróty - zaznaczone)

Brygida Helbig-Mischewski i Magda Parys-Liskowski: Siłą napędową przy tworzeniu "widocznego znaku"1) jako instytucji państwowej był Związek Wypędzonych 2). A teraz pani, jego przewodnicząca, nie uczestniczy w jego realizacji. Boli to panią?

Erika Steinbach: Nie, ponieważ zależało mi przede wszystkim na tym, żeby miejsce pamięci, o które tak długo walczyłam, wreszcie powstało. Niemieccy socjaldemokraci dali jasno do zrozumienia, że zablokują projekt, jeśli zasiądę w radzie. Nie chcę być powodem, dla którego prace się opóźniają. Dlatego zaproponowałam Związkowi Wypędzonych rezygnację z mojej kandydatury, ale i demonstracyjne pozostawienie pustego miejsca jako symbolu wolności wyboru.

Jak długo to miejsce ma pozostać nieobsadzone?

- To się okaże. Wszystko zależy od większości w nowo wybranym rządzie.

To znaczy, że jeśli CDU osiągnie większość, to pani w radzie zasiądzie?

- CDU, w szczególności zaś kanclerz Angela Merkel, chce, żeby Związek Wypędzonych mógł spokojnie wprowadzać w życie swoje prawa. Wyraźnie o tym mówiła na dorocznym przyjęciu Związku Wypędzonych.

Tymczasem jednak prace toczą się bez pani...

- W fundacji jest dwóch przedstawicieli Związku Wypędzonych. To moi wiceprezydenci cieszący się moim całkowitym zaufaniem. Ponadto wykorzystując swoje polityczne możliwości, będę oczywiście bardzo dokładnie śledzić rozwój tej instytucji.

W jaki sposób "widoczny znak" uwzględni przymusowe wysiedlenia innych narodów?

- Szczegółowa koncepcja jeszcze nie została uchwalona. Ale nasz związek wraz z moją fundacją Centrum przeciw Wypędzeniom jednoznacznie pokazał, że niemieccy wypędzeni okazują wiele zrozumienia ofiarom innych wypędzeń. Że nie są to puste słowa, udowodniliśmy, organizując w Berlinie w 2006 r. wystawę "Wymuszone drogi". Byliśmy pierwszymi w Niemczech, którzy przedstawili wypędzenia innych narodów europejskich, w tym naturalnie również losy wypędzonych Polaków. Sądzę, że to dobrze, kiedy ludzie, którzy sami stali się ofiarami, interesują się losami innych ofiar. Pomaga to pokonać własny ból.

Ale "widoczny znak" temu tematowi poświęci tylko wystawy okazyjne.

- Ustawa zakłada, że los wypędzonych Niemców będzie centralnym tematem wystawy. Dotyczy to przecież co trzeciej rodziny w Niemczech. Zajęcie się tą niezwykle istotną częścią historii Niemiec jest niezbędne dla naszej tożsamości kulturowej. To część na długie lata wypartego w Niemczech procesu poszukiwania tej tożsamości.

Ale rozumie pani obawy Polaków? Obawy przed tym, iż w efekcie tych wszystkich działań w zbiorowej świadomości Niemców z drugiej wojny światowej pozostanie tylko pamięć o Holocauście i przymusowych wysiedleniach Niemców?

- Bardzo dobrze rozumiem troski i obawy Polaków. Są one jednak bezpodstawne. Sama w wielu przemówieniach wciąż dawałam do zrozumienia, że gdyby nie Hitler, nie doszłoby do wypędzeń. Polska i Rosja należą do państw,

które najstraszniej ucierpiały pod reżimem nazistowskim. Tragiczne doświadczenia Polaków to temat, który zajmował już mojego poprzednika Herberta Czaję. Wykładał na uniwersytecie w Krakowie, ponieważ mieszkał w regionie, który po pierwszej wojnie światowej przypadł w udziale Polsce. [Czaja nie wykładał na UJ, ale tam studiował. W 1939 r. przez dwa tygodnie był asystentem, został jednak wyrzucony, bo nie wstąpił do NSDAP - red.]. Mówił dobrze po polsku. Kiedy Hitler zaatakował Polskę, wymagano od Herberta Czai, żeby wstąpił do NSDAP, jednak on się sprzeciwił. Jako przewodniczący Związku Wypędzonych niejednokrotnie podkreślał, że w Niemczech trudno sobie wyobrazić, jak wszechobecna jest w Polsce trauma okupacji. To jest dla nas, w szczególności zaś dla mnie, rzecz oczywista.

Kto odpowiada za przymusowe wysiedlenia Niemców?

- Hitler otworzył puszkę Pandory z nieludzkim okrucieństwem. Jednak odpowiedzialność za wypędzenia pod koniec wojny i po wojnie ponoszą ci, którzy sprawowali tam władzę. Duża część odpowiedzialności spada na aliantów. Odpowiedzialne są także państwa, z których Niemców wypędzono. Nie kto inny jak wielki Polak Jan Józef Lipski powiedział wyraźnie, że jedno bezprawie nie może usprawiedliwiać drugiego - miał na myśli wypędzenia. Nie było i nie ma w prawie międzynarodowym mowy o winie zbiorowej, którą mieliby ponosić niewinni.

Ale czy te państwa, z których Niemców wysiedlono, miały inny wybór?

- W życiu ma się przeważnie jakiś wybór. Szczególnie po wyzwoleniu się spod dyktatury. Belgia i Francja zachowały się w stosunku do niemieckiej mniejszości inaczej. Ukarano tylko winnych, chociaż w Belgii również doszło do masakry. Zdaję sobie sprawę z tego, że w Polsce reżim był inny. Ale pretekst do wypędzeń i w Belgii by się znalazł.

A jaki wybór miała w 1945 r. Polska przy ustalaniu granic?

- To miała być początkowo granica tymczasowa, takie były ustalenia aliantów. Polska nie miała na to wpływu. Zwłaszcza Stalin, forsując swoje plany polityczne, nie brał Polski pod uwagę.

Mówi Pani o 12,5 mln wypędzonych. Zalicza pani do nich też uciekających okupantów i późniejszych przesiedleńców?

- W sumie mamy do czynienia z 15 mln Niemców wypędzonych z różnych krajów europejskich. Podczas wypędzeń zginęło bądź zaginęło około 2 mln ludzi. Na tereny dzisiejszych Niemiec dotarło około 12,5 mln. Wszystkie te osoby objęte są przepisami niemieckiej ustawy o wypędzonych. Do tego dochodzą między innymi późniejsi przesiedleńcy z byłego Związku Radzieckiego, z Rumunii oraz Niemcy, którzy w latach 80. i z początkiem lat 90. przybyli z terenów dzisiejszej Polski.

Często nazywa pani Związek Wypędzonych organizacją ofiar. Przymusowo wysiedleni to ofiary nazizmu?

- Wypędzenie Niemców było jedną z konsekwencji nazizmu, wypędzeni nie są jednak jego ofiarami. Podczas wypędzeń, to znaczy do roku 1948, Hitlera i jego reżimu już nie było. Odpowiedzialność za nie ponoszą inni. Wypędzeni są ofiarami różnych reżimów oraz aliantów. Obowiązujące w ówczesnym okresie rządy przeprowadzały to na różne sposoby. Na przykład Tito ponad połowę Niemców, którzy w 1944 roku znajdowali się jeszcze w Jugosławii, uwięził w obozach. Połowa z tych ludzi zginęła, ci, którzy przeżyli, zostali wypędzeni w 1948 roku. Pretekstem do tego był nazizm. Nie może być on jednak usprawiedliwieniem dla przemocy i wypędzenia niewinnych ofiar.

Czy wszyscy członkowie Związku Wypędzonych byli tylko ofiarami? Wśród wysiedlanych i uciekających Ślązaków i Prusaków nie było zbrodniarzy nazistowskich?

- Wśród tak licznej grupy ludzi z całą pewnością znajdowali się nazistowscy sprawcy. Podobnie jak wśród ludności niewypędzonej - z Hamburga, Kolonii, Monachium czy Berlina. Wszystkich, których po wojnie udało się schwytać, alianci, a później Republika Federalna Niemiec postawili przed sądem i skazali. Skoro o tym mowa, to na przykład wieloletni przewodniczący Ślązaków Herbert Hupka sam był wraz z rodziną prześladowany przez nazistów. Jego matka była więźniarką obozu koncentracyjnego w Theresienstadt.

Ale wielu tzw. wypędzonych przybyło do Niemiec, jeszcze zanim nastąpiły wysiedlenia albo - jak sama pani wspomniała - w latach 80.

- Kto ucieka w obronie życia i nie ma możliwości powrotu, jest z punktu widzenia prawa międzynarodowego wypędzonym. Jako rzecznik praw obywatelskich z ramienia frakcji Bundestagu CDU/CSU spotykam się na co dzień z takimi przypadkami. Największe dramaty tego typu rozgrywają się w dzisiejszej Afryce. Niestety, przed paroma

laty zdarzyło się to także w Europie, w byłej Jugosławii.

Dotyczy to także ucieczki narodu, który sam wywołał wojnę?

- Chodzi tu o prawa człowieka. Prawo międzynarodowe jest jednoznaczne. Nie ma czegoś takiego jak wina zbiorowa, tak samo jak nie ma zbiorowej kary. Poza tym wojny z reguły nie wywołuje "naród", tylko jego rząd, co zazwyczaj w narodzie wywołuje trwogę. Kiedy Adolf Hitler dochodził do władzy, moja matka miała 11 lat. Z pewnością to nie ona wybierała tego zbrodniarza. Mój ojciec miał 17 lat i też nie mógł jeszcze głosować, a mimo to całą swoją młodość spędził na wojnie. Z rosyjskiej niewoli wrócił w wieku 33 lat. Nie przyczynił się do stworzenia tego reżimu, ale musiał go przeczekać. Każdy ma prawo ponosić karę wyłącznie za swoje osobiste przewinienia. I tego w niektórych krajach, jak już mówiłam, przestrzegano.

Czy naprawdę można mówić o wypędzeniach, kiedy agresor ucieka z zajętych przez siebie terenów?

- Agresorem był Hitler i reżim, który stworzył, chociaż nie wybrała go nawet połowa Niemców (43,91 proc. głosów). Agresorem nie były kobiety i małe dzieci.

Co robił podczas wojny pani ojciec?

- Mój ojciec był w Luftwaffe. Bogu dzięki, że był w Luftwaffe. Nikomu przynajmniej nie przyjdzie do głowy mówić, że był nadzorcą obozu koncentracyjnego.

Opowiadał o wojnie?

- Prawie nic nie opowiadał. Kiedy pytałam go: tatuś, jak było w rosyjskiej niewoli, odpowiadał tylko: źle. I dodawał jeszcze: Rosjanom też tam nie było lepiej. Z rosyjskiej niewoli wrócił ledwo żywy pod koniec 1949 roku, sama skóra i kości.

Co opowiadała o ucieczce pani matka?

- Moja mama spisała dla nas wspomnienia o ucieczce. Miała wówczas dwójkę małych dzieci, moja siostra miała trzy miesiące, a ja półtora roku. Najpierw spędziłyśmy kilka tygodni w wagonie bydłowym z nadzieją, że będziemy mogły uciec przed Rosjanami na zachód. Potem mama miała nadzieję, że uda nam się dostać na statek "Wilhelm Gustloff". Ale także to okazało się - na szczęście - niemożliwe. Statek, jak wiadomo, został storpedowany, zginęło wówczas 10 tysięcy uciekinierów. Dwa dni po tej katastrofie dostałyśmy się na mniejszy, całkowicie przepelniony statek. Statek płynął nieoświetlony, płynęliśmy nim w sumie trzy tygodnie. W drodze zatopiono statek, który nam towarzyszył. W nas też coś mocno uderzyło, myśleliśmy, że to już koniec. Okazało się, że zderzyliśmy się z innym statkiem. Na skutek zderzenia do naszego statku dostała się woda, co wywołało oczywiście panikę. Otwór o średnicy 5 metrów znajdował się na szczęście powyżej poziomu wody. Morze było jednak w miarę spokojne. W ostatnich dniach podróży nie było już nic do jedzenia ani do picia. Gdy w końcu dotarliśmy na ląd, bodajże w mieście Stralsund, pielęgniarka Czerwonego Krzyża przejęła mnie i moją siostrzyczkę. Następnymi czterech tygodni moja matka w ogóle nie mogła sobie przypomnieć. Olbrzymie napięcie i strach, jakie wtedy przeżywała, spowodowały absolutną amnezję. Pamięć tamtych tygodni nie wróciła mojej matce aż do śmierci. Podczas ucieczki miała 23 lata i musiała ze wszystkim radzić sobie sama. Przez wiele lat nie wiedziała, czy mój ojciec jeszcze żyje i gdzie przebywa.

W Niemczech nie przyjmowano uciekinierów serdecznie...

- W Szlezwiku-Holsztynie, dokąd nas skierowano, chłopcy nie cieszyli się naturalnie z przybycia tylu ludzi pozbawionych środków do życia. Przerastało to ich siły i możliwości, podobnie było zresztą w innych regionach Niemiec. Do kraju, którego większe miasta były całkowicie zniszczone, przybywały miliony ludzi. Nie ma się więc co dziwić, że niechęć wobec nowo przybyłych była bardzo duża. Jeden z chłopów powiedział do mojej matki: "Jesteście gorsi niż karaluchy". Przez wiele lat utrzymywało się napięcie i wrogość zachodnich Niemców w stosunku do wypędzonych. Stalin miał nadzieję, iż w ten sposób uda mu się zdestabilizować Niemcy zachodnie.

Nigdy pani nie płakała, słysząc zarzuty z Polski?

- Nie, ale byłam przerażona bardzo zniekształconym wizerunkiem mojej osoby. Moi rodzice za życia bardzo z tego powodu cierpieli. Ojciec powiedział kiedyś z oburzeniem: "Erika przecież taka nie jest". Znoszę to wszystko, bo angażuję się nie dla siebie, lecz dla ludzi, którzy często są bezsilni. Zarzuty te nie dotyczą mnie tak bardzo, gdyż wiem, że odgrywają tu rolę cierpienia, jakich doświadczyła Polska. Mimo wszystko to jednak absurd. Byłam wówczas małym dzieckiem, a zakłada mi się mundury SS... A przecież wszyscy nasi prezydenci z wyjątkiem

Theodora Heussa i obecnego prezydenta, który jest z mojego rocznika, byli w czasie wojny żołnierzami. Richard von Weizsäcker był oficerem i od pierwszego dnia wojny brał udział w zdobyciu Polski, a przecież cieszy się szacunkiem i nie jest w Polsce kimś podejrzanym. Nie biorę wszystkiego do siebie, gdyż wiem, jak wiele kryje się za tym tragicznych przeżyć Polaków. Ale chodzi w tym wszystkim również o wewnętrzne polskie rozgrywki, kiedy np. jedna partia pragnie zwyciężyć drugą i szuka pomocnych jej w tym tematów. Jestem jednak głęboko przekonana, że to się kiedyś unormuje. Uspokaja mnie to, że w tych regionach Polski, w których wcześniej mieszkali Niemcy, te radykalne poglądy nie padają na podatny grunt. Tam gdzie ludzie się znają, gdzie ze sobą rozmawiają, nie udaje się budzić lęków absurdalnymi argumentami.

Może pani podać konkretne przykłady?

- Ziomkostwo Prus Wschodnich nawiązało na przykład partnerstwo z ponad 30 miastami w dzisiejszej Polsce. Burmistrzowie tych miast i tamtejsi wojewodowie spotykają się z przedstawicielami ziomkostw niemieckich na zmianę w Polsce i w Niemczech. Były premier Jarosław Kaczyński próbował zablokować te kontakty. Lecz tylko jeden z burmistrzów podporządkował się temu naciskowi politycznemu. Jestem więc przekonana, że klimat w Polsce znormalizuje się kiedyś także i w Warszawie. Dużą rolę odgrywają tutaj lęki, które rozumiem. Wielu moich kolegów posłów głosowało ze mną swego czasu w Bundestagu przeciwko granicy na Odrze i Nysie. Nie dlatego, żeby nie chcieli uznać tej granicy, lecz dlatego, iż nie uregulowano równolegle do niej innej ważnej kwestii, która do takich obaw prowadzi - kwestii majątkowej. Gdyby wówczas nas posłuchano, nie byłoby dzisiaj ani pruskiego, ani polskiego powiernictwa.

Oznacza to, że Związek Wypędzonych zrezygnowałby z odszkodowań i roszczeń?

- Nie mogę jako przedstawicielka Związku zrezygnować z roszczeń osób prywatnych. Zabrania tego nasza konstytucja. Problem ten może rozwiązać jedynie rząd niemiecki i Polska. Jest mi obojętne, kto znajdzie rozwiązanie, zależy mi jedynie na tym, żeby tę kość niezgody jak najszybciej usunąć. Bo jest to rzeczywiście temat, który prowadzi w Polsce do wielu awersji i lęków.

----[fragment pominięty w wydaniu papierowym]----

Wielu Polaków ma obawy.

- Dlatego też mówię, iż jest to karygodne, że nie rozwiązano tej kwestii już wtedy. Odrzucenie roszczeń przez Trybunał Praw Człowieka w Strasburgu nie jest żadnym rozwiązaniem. Dla naszego Związku jest to jednak temat marginalny. O wiele ważniejsze jest opowiadanie naszych losów i utrzymanie bogatego kulturowego dziedzictwa wcześniejszych terenów wschodnich Niemiec. Gerhard Hauptmann i mój ulubiony poeta Joseph von Eichendorff byli Ślązakami. Nasi wielcy filozofowie Kant, Herder i Schopenhauer pochodzili z Prus Wschodnich i z Gdańska. To niezbędne dziedzictwo dla naszej tożsamości, nie łączą się z nim jednak żadne roszczenia terytorialne.

O tym dziedzictwie bardzo wiele pisze się obecnie w Polsce. Od roku 1989 pisarze polscy szczególnie intensywnie zajmują się przeszłością Wrocławia, Gdańska czy Szczecina.

- To napawa nadzieją, prawda? Nie jestem pesymistką. Wiem, że w Polsce powstały bardzo dobre prace na temat wypędzeń i kulturowych korzeni. We współpracy z Instytutem Herdera napisał na ten temat kilka książek Borodziej, ale także inni historycy. W Polsce temat ten podejmowany jest intensywniej niż przez młodych historyków niemieckich. W roku 1999 po raz pierwszy byłam w Warszawie i wygłosiłam przemówienie na Uniwersytecie Kardynała Stefana Wyszyńskiego, w którym wyraźnie zazaczyłam, że Polaków i Niemców więcej łączy, niż dzieli, oraz że powinniśmy szukać przede wszystkim tego, co nas łączy. Mamy przecież wspólny fundament kulturowy, jest nim chrześcijaństwo Zachodu. Bez Jana III Sobieskiego prawdopodobnie wszyscy bylibyśmy dzisiaj muzułmanami. Ten polski król w decydujący sposób przyczynił się do ratowania Wiednia przed Turkami. Posiadamy wiele wspólnego ponad granicami państw i grup narodowych. To, co kulturowo wspólne, dominuje, i byłoby nie do pojęcia, gdyby nie udało nam się tego odpowiednio wykorzystać dla naszej wspólnej przyszłości.

Mimo to przed miesiącem powiedziała pani w wywiadzie telewizyjnym, że prof. Bartoszewski potrzebowałby psychoanalizy...

- Bardzo długo podziwiałam Bartoszewskiego. To niezwykle zasłużony człowiek w budowaniu polsko-niemieckiego dialogu, tym bardziej odczuwam to, co się stało w ciągu ostatnich miesięcy, jako bardzo, bardzo tragiczne. Nawet jego najlepsi przyjaciele w Niemczech, którzy są także moimi przyjaciółmi, nie mogą tego pojąć. Nie chciałabym wypowiadać się szerzej na ten temat.

W Polsce zarzuca się pani, że głosowała pani przeciw uznaniu granicy polsko-niemieckiej i przeciw wstąpieniu Polski do Unii Europejskiej.

- Nie jest to prawdą. Nie głosowałam przeciwko wstąpieniu Polski do Unii Europejskiej. Podczas pertraktacji związanych z poszerzeniem UE zdecydowano się na przyjęcie dziesięciu krajów jednocześnie. Jestem odpowiedzialna za prawa człowieka we frakcji CDU/CSU, stąd też przed głosowaniem zwróciłam uwagę na to, że w czterech krajach istnieją jeszcze regulacje prawne niezgodne z prawem człowieka. Wymieniłam jako przykład jedynie Czechy i dekrety Benesza 3). Zwróciłam uwagę na to, że było niedopatrzeniem Komisji Europejskiej, iż nie obstawała przy warunku zniesienia tych praw podczas procesu poszerzania Unii. Następnie zgodziłam się ze wstąpieniem wszystkich dziesięciu krajów i powiedziałam, że "witam serdecznie mieszkających w nich ludzi".

Zgodziłam się także bez jakichkolwiek zastrzeżeń na wstąpienie Polski do NATO.

W wywiadzie dla "Spiegla" powiedziała pani, że istniało takie zjawisko jak polskie "parcie" (Drang) na Zachód, że w okresie międzywojennym istniały karty pocztowe, na których granice Polski sięgały Berlina.

- Tak, to prawda. Te karty były nawet rozsyłane przez instytucję państwową. Pojawiały się także wypowiedzi, iż "obcy element" w Polsce należy zredukować poniżej 1 proc. Chodziło tu nie tylko o Niemców, ale także o Ukraińców i Białorusinów. Były to poglądy nacjonalistyczne. Bez Hitlera jednak nie udało by się ich preforsować w tak dramatyczny sposób.

Można by pomyśleć, że za pomocą takich przykładów próbuje pani zdjąć z Niemców piętno winy za drugą wojnę światową.

- Nie, za narodowy socjalizm jesteśmy odpowiedzialni my sami i nikt inny.

---[fragment pominięty w wydaniu papierowym]---

Wielu Polaków nie wie, że Związek Wypędzonych stara się także o porozumienie polsko-niemieckie. Jakie były reakcje z Polski na zorganizowaną przez Związek Wypędzonych wystawę o Powstaniu Warszawskim?

- Byłam dość dotknięta, iż wyraz współczucia ze strony Związku Wypędzonych został w Polsce nie tylko zanegowany, ale również odrzucony. Jako Związek Ofiar zorganizowaliśmy uroczystość poświęconą ofiarom, za których cierpienia winę ponoszą Niemcy, i spotkaliśmy się z wrogimi reakcjami. Podobny los spotkał wystawę "Wymuszone drogi", na której pokazaliśmy m.in. losy wypędzonych Polaków. Nigdy wcześniej nie było w Niemczech podobnej wystawy. W tej chwili wystawa pokazywana jest w różnych miastach niemieckich. Przy czym losy polskie zajmują w niej - proporcjonalnie do liczby ofiar - więcej miejsca niż losy niemieckich wypędzonych. Ponad 100 tysięcy zwiedzających widziało już tę wystawę. Obecnie pokazywana jest w Landtagu w Erfurcie. Jeśli istniałoby zainteresowanie ze strony polskiej, chętnie pokazalibyśmy wystawę także w Polsce.

Przeciętny Niemiec wie na ten temat niewiele, zwłaszcza na temat wypędzeń Polaków.

- Niemcy z reguły wiedzą mniej na temat swojej własnej historii niż Polacy. Naszą wystawę widziało w samym Berlinie 130 klas szkolnych. To dobrze, że niemiecka młodzież dowie się czegoś na ten temat.

Oprócz działalności w Związku Wypędzonych jest pani od lat delegatem do spraw praw człowieka ze strony CDU/CSU. Czy zadania te zajmują pani tyle samo czasu co przewodniczenie Związkowi?

- Zadania te pochłaniają większość mojego czasu. To przecież mój mandat poselski. Funkcja przewodniczącej Związku to urząd honorowy, nie zawód. Nie dostaję za to ani jednego euro.

Czy jest coś, co chciałaby pani powiedzieć Polakom na zakończenie?

- Jeszcze Polska nie zginęła. Za tę niezłomność zawsze podziwiałam naród polski. Mimo trzech rozbiorów i wymazania państwa polskiego z mapy Europy Polacy zawsze potrafili mobilizować się do oporu kierowani przekonaniem: "Jeszcze Polska nie zginęła". Działo się tak również podczas dyktatury Hitlera, której największe okrucieństwa dotknęły właśnie państwo polskie. I mimo wszystko: "Jeszcze Polska nie zginęła". W tym stuleciu, w

zjednoczonej Europie możemy - odwołując się do tego, co nam kulturowo wspólne, oraz do wzajemnego współczucia - przezwyciężyć okrucieństwa wieku dwudziestego. I to właśnie jest moim celem.

* Brygida Helbig-Mischewski, dr. hab. prof. US, ur. w 1963 roku w Szczecinie. Od 1983 r w Niemczech, studia slawistyki i germanistyki w Bochum, od roku 1994 pracownik naukowy Uniwersytetu Humboldtów w Berlinie, wykłada na kulturoznawstwie i dziennikarstwie Uniwersytetu Szczecińskiego.

** Magda Parys-Liskowski, ur. w 1972 roku w Gdańsku. Od 1983 roku w Berlinie, absolwentka filologii polskiej i pedagogiki, obecnie doktorantka z zakresu stosunków polsko niemieckich na Uniwersytecie Humboldtów.

<i>1) „Widoczny znak” - to zapisana przez SPD i CDU w umowie koalicyjnej z 2005 r. instytucja, w której upamiętnione mają zostać powojenne wypędzenia Niemców. „Widoczny znak” to nazwa prowizoryczna, ale już się przyjęła.

2) Związek Wypędzonych (BdV) reprezentuje Niemców, którzy w czasie wojny uciekli przed nadchodzącą Armią Czerwoną lub zostali deportowani po wojnie. Z czasem BdV włączył do swojego składu także tzw. późnych przesiedleńców - czyli Niemców, którym pozwolono od lat 70. wyjeżdżać z bloku wschodniego. Przewodniczącą BdV jest Erika Steinbach - podaje się za wypędzoną, ale jej rodzina osiedliła się w czasie wojny w okupowanym polskim mieście Rumia i stamtąd potem uciekła.

3) Dekrety Benesza - dekrety wydane po wojnie przez czechosłowackiego prezydenta Edwarda Benesza, m.in. sankcjonujące deportacje Niemców z Sudetów. Wypędzeni uznają je za zbrodnicze i od lat domagają się ich unieważnienia.

Tekst pochodzi z serwisu Wyborcza.pl - www.wyborcza.pl © Agora SA